

PAMIĘTAM...

W marcu 1944 roku zostałem aresztowany podczas pełnienia funkcji komendanta placówki AK. Początkowo przebywałem w gestapo w Tomaszowie Mazowieckim na tzw. Zapiecku, skąd po ukończonym "śledztwie" przekazano mnie do więzienia, znajdującego się przy ul. Św. Antoniego.

Wkrótce zostałem przewieziony do obozu koncentracyjnego. Transport nasz składał się z około 1000 osób. Konwojentami byli Ukraińcy-esesmani, a ich stosunek do nas można bez przesady określić jako zwierzęcy. Bili nas na każdym kroku, rabując przy tym co lepsze rzeczy bo, jak mówili, tam, dokąd jedziemy, nic nam już nie będzie potrzebne. Dobre buty czy inną wartościową część garderoby musieliśmy ponadto oddawać z dobrą miną, w przeciwnym bowiem wypadku następowało kopanie i bicie po twarzy. Wagony towarowe, którymi nas przewożono, wysepiane były niegaszonym wapnem, aby w razie ucieczki łatwo było nas rozpoznać. Po dosyć długo trwającej podróży transport nasz zatrzymał się na małej stacji Gross-Rosen.

Oszabieni podróżą oraz wycieńczeni z głodu i pragnienia, popędzani rykiem SS-manów, musieliśmy szybko wyskakiwać z wagonów na niską rampę. Z uwagi na związane do tyłu ręce, prawie każdy z nas walił się na twarz, rozbijając ją do krwi. Na tych zaś, którzy zrećźnie wyskoczyli z wagonu, nie robiąc sobie krzywdy, sypał się grad razów bykowcami. Wyładowano około 600 osób, sześciu więźniów zmarło w transporcie, reszta pojechała dalej w nieznaną.

Po uformowaniu kolumny, ruszyliśmy piątkami w kierunku pobliskiej wsi, gdzie przyjęto nas obraźliwymi wyzwiskami. Po około trzech kilometrach marszu dotarliśmy do obozu, doznając już przy bramie sadystycznego przyjęcia. Oczekujący wewnątrz SS-mani tłukli nas, czym tylko się dało, w wyniku czego prawie wszyscy mieliśmy ślady tego "powitania" w postaci ran, guzów i siniaków. Po tej czynności nastąpiło krótkie regulaminowe przyjęcie na placu apelowym i przygotowanie się do rewizji. W tym celu zmuszeni byliśmy rozebrać się do naga, a dwie grupy "rewidentów" przystąpiły do akcji. Pierwsza kontrolowała jamę ustną delikwenta, druga grupa sprawdzała odbytnicę. Do tego celu służyły ustawione na placu apelowym dwie żelazne beczki. Więzień musiał szybko i sprawnie podbiec, a następnie przewiesić się przez beczkę, twarzą ku ziemi. Po kontroli odbiegał na bok, a jego miejsce zajmował następny więzień.

Dla mnie osobiście kontrola ta wypadła niezbyt pomyślnie. Po niedawnym śledztwie w tomaszowskim gestapo ciało moje było prawie całe sine. Prócz tego wywiązał się początek gangreny obu ud, przeto nie byłem w stanie szybko i sprawnie zająć "honorowego" miejsca na beczce, jak to czynili moi młodzi i mniej skatowani koledzy. Dowłokłem się do beczki i ułożyłem twarzą w dół. Krótka kontrola i w wyniku silnego kopniaka momentalnie znalazłem się na ziemi twarzą do góry. Siarczysty kopniak był karą za niesprawne wykonanie rozkazu. Wreszcie pobierałem się i przeszedłem do grupy zrewidowanych.

Następnie skierowano nas na blok 9 tzw. Zugangsblock, gdzie otrzymaliśmy paszaki i numer więźnia, który każdy z nas musiał

sobie przyszyć na bluzie po lewej stronie klatki piersiowej i na prawej nogawce spodni, tak aby był widoczny. Podczas mego trzydniowego pobytu w tym bloku, lekarz /?/ SS-man zakwalifikował pięciu z nas jako chorych i skierował do rewiru. Dostałem się na szóstkę, na blok chirurgiczny.

Jeszcze w bloku 9, przed wieczornym apelem, otrzymałem pajdkę chleba oraz porcję margaryny. W bloku chirurgicznym otrzymałem to samo. Zadowolony z dodatkowej żywności wierzyłem, że będzie mi tu znośnie; nie znałem jeszcze wtedy warunków obozowych. Tymczasem zainteresował się moją osobą rewirkapo, pełniący zarazem funkcję blockälteetera, Kurt Wilbli. Wywołał on mój numer i spytał, dlaczego wzięłem chleb w rewirze, skoro już dzisiaj otrzymałem swoją porcję na poprzednim bloku. Początkowo próbowałem tłumaczyć, że w Gross-Rosen jestem zaledwie trzeci dzień i sądziłem, że jest to dodatek dla chorych. Widząc jednak, że kapo ryczy na mnie jak zwierzę, szybko połknąłem otrzymaną porcję, aby jej nie utracić, bo i tak kara mnie nie minie.

Wówczas Wilbli rozkazał mi uklęknąć na podłodze i oprzeć się o tył pryczy. Nagi, bo tak przebywali więźniowie w rewirze, uklęknąłem, a kapo żołnierskim butem kopał mnie klęczącego w brzuch i podbrzusze aż ustami pocięła mi krew. Wówczas nakazał zabrać mnie do umywalni, gdzie skierowano na mnie strumień wody z gumowego węża, co spowodowało omdlenie. Ostatkiem świadomości pomyślałem przez moment, że to już koniec, choć jak się później okazało, życie kołatało się jeszcze we mnie. Następnego dnia dostałem zapalenia płuc, a to, że przetrwałem, zawdzięczam jedynie wyjątkowej opiece doktora Kosibowicza, lekarza na VI rewirze, również więźnia politycznego z Będzina. Po dwóch miesiącach prymitywnego leczenia, bo takie tylko było dla nas dostępne, wyszedłem "zmuzułmaniały" i nadal chory.

Przydzielono mnie na blok 18. Grosrozeniacy wiedzą, że pobyt w tym bloku należał do b. trudnych. Był to blok przeznaczony dla Niemców. Przebywali tam w większości "zieloni", czyli kryminaliści. Na każdej z dwóch sztab było po sześciu Polaków. Do naszych obowiązków należało ścielenie Niemcom łóżek, utrzymywanie czystości w bloku i wszelkie inne posługi. Czynności te wykonywaliśmy w większości obok naszych codziennych zajęć. Niemcy szykanowali nas w różny sposób, np. do ubikacji wolno nam było wejść tylko wtedy, gdy robiliśmy tam porządek, a do sztaby tylko wtedy, gdy trzeba było iść spać. Wieczorem musieliśmy wszystkim Niemcom czyścić trepy. Mała usterka w pościeleniu łóżka, źle oczyszczony trep lub znalezione przez blokowego na podłodze najmniejsza choćby słomka, powodowało bicie nas po twarzy, kopniaki lub karne ćwiczenia. Niemcy nienawidzili nas podwójnie: za to, że jesteśmy Polakami, a w dodatku więźniami politycznymi. Takie były moje warunki mieszkalne. A jak przedstawiała się praca?

Przydzielony zostałem do tzw. Stehkommando. W większości przebywali w nim słabsi i chorzy więźniowie, których zadaniem było stać bezczynnie przez 10-12 godzin, bez chwili wytchnienia. Pilnowali nas funkcjonj i gdy tylko ktoś usiadł, zaraz dostawał bity. Z okresu "pracy" w Stehkommando przypominam sobie zdarzenie, którego byłem naocznym świadkiem. Pewnego dnia przywieziono do obozu ośmiu Żydów i umieszczono na 8. bloku. Ponieważ w tym czasie w samym Gross-Rosen nie było w ogóle Żydów /przechodzili tylko przez przyjęcie i kierowani byli do Aussenkommand/, przeto wzbudzili ogromne zainteresowanie wśród więźniów. Kim byli i dlaczego przywieziono ich do Gross-Rosen, nie dowiedziałem się. Wkrótce wypro-

wadzono ich przed blok i kazano im parami boksować się. Jeden z SS-manów krótko przyglądał się walce i przerwał ją, oznajmiając delikwentom, że jeśli nie będą walczyć naprawdę, to on im pokaże, jak należy się bić. Nieszczęśnicy, obawiając się utracić życie, poczuli bardziej serię wykonywać rozkaz. Wynik był smutny. Połowa z walczących legła na ziemi półprzytomna. SS-mani, rycząc z uciechy, utworzyli z trzymających się jeszcze na nogach nowe pary i nakazali dalszą walkę. Ostatecznie na placu boju pozostał jeden tylko Żyd. Po skończonej "zabawie" wszystkich walczących zabrano, prawdopodobnie do krematorium.

### Dzisiaj jest to Jelcz

W sierpniu 1944 roku przeniesiony zostałem z Gross-Rosen do podobozu w Fünfteichen. Zostałem zatrudniony w zakładach Kruppa, zwanych Bertha-Werke. Były one oddalone od obozu o około 2-5 - 3,0 km. Więźniowie pracowali na dwie zmiany-szycy przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny. Mnie przydzielono do grupy budowlano-porządkowej, pracującej w zasadzie tylko na dziennej zmianie. Do naszych obowiązków należało obsiewanie trawą schronów przeciwlotniczych, wyładunek cegły, cementu i innych materiałów budowlanych.

Pewnego dnia, rozładując materiały w nowej hali produkcyjnej, zobaczyłem w ażurowych skrzyniach nowe maszyny, tzw. obrabiarki, na których można było odczytać "Made in USA". Wtedy załamłem się całkowicie. Nie wierzyłem, by w warunkach amerykańskich dostaw dla Niemców można było przetrzymać piekło obozowe. Jako Haftling z tzw. Postsperry /areszt paczkowy/ ważyłem zaledwie 41 kg przy wzroście 186 cm. Od marca do września, tj. w ciągu pół roku, utraciłem 45 kg wagi.

W obozie Fünfteichen była duża ilość Żydów, przeważnie z Polski, Węgier i Rumunii. Szczególnie utkwił w mej pamięci polski Żyd, ponoć syn zamożnego współwłaściciela jednej z kopalń na Górnym Śląsku. Jako oberkapo znany był na terenie fabryki ze swego okrucieństwa. Był postrachem wszystkich więźniów, na jego widok miało się śmierć w oczach. Mimo niskiego wzrostu bił bardzo silnie. Pewnego dnia tenże oberkapo uciekł. Przypuszczam, że było to "posmarowane" z zewnątrz dużą ilością złota i innych kosztowności. W pogodny, jesienny wieczór 1944 roku miał on odebrać jak zwykle raport od poszczególnych kapów i forarbeiterów o stanie liczbowym komand roboczych przed opuszczeniem terenu fabryki i udaniem się do obozu w Fünfteichen. Ceremonia ta nie mogła się odbyć, ponieważ, jak stwierdził komendant konwoju SS, oberkapo gdzieś się zasztył. Po przeszukaniu terenu fabryki nie odnaleziono go - zniknął w sobie tylko wiadomy sposób. W odwet za tę ucieczkę zastosowano wobec nas karne ćwiczenia: padnij, powstań, żabka itd. Represje te jednak nie pomogły i oberkapo nie odnalazł się. Jak się później okazało, wyjechał z terenu fabryki samochodem osobowym, w towarzystwie oficerów i prawdopodobnie przebrany za jednego z nich. Rekwizytem przypominającym nam tego kata było jego ubranie znalezione w jednym ze schronów przeciwlotniczych. Były to prawie nowe pasiaki ze starannie wyszytym niskim numerem, którego jednak nie zapamiętałem.

Następnie pracowałem w komando, którego zadaniem było grodzenie drogi prowadzącej z obozu do zakładów Bertha-Werke. Była to dla nas bardzo ciężka praca, szczególnie wyczerpujące stało się przenoszenie bębnow drutu kolczastego. Dozór popędzał nas stale z uwagi na pilność robót, związanych z koniecznością zabezpieczenia trasy przemarszu do pracy i z powrotem. Po kilku dniach zach-

rowałem na podwójną flegmonę lewej nogi, wobec czego przeniesiono mnie z bloku 36 na rewir, gdzie przeprowadzono mi operację.

Śmiertelność wśród więźniów była bardzo duża, spowodowana między innymi skandalicznym stanem sanitarnym obozu. Panowały tu różne choroby z powodu totalnej wewzawicy. W Gross-Rosen dwa razy w tygodniu przeprowadzano przegląd bielizny i nie pamiętam wypadku, aby u więźnia znaleziono wesz. W Fünfteichen była ich cała masa, a ponadto było wszędzie brudno. Kąpiele, najczęściej pod zimną wodą, nie dawały pozytywnych rezultatów, a długie wyczekiwania w kolejce powodowały masowe zapalenia płuc i dużą śmiertelność z tego powodu. Tak zwane odkażanie bielizny, trwające zaledwie kilka minut podczas kąpieli więźnia, nic nie dawało - bielizna i odzież zdążyły w tym czasie ledwie się podgrzać.

W styczniu 1945 roku przebywałem w dalszym ciągu w rewirze, niezdolny do żadnego ruchu, z otwartymi ranami po drugiej operacji podwójnej flegmony prawej nogi i z wysoką gorączką. Przeprowadzano wtedy ścisłą selekcję wszystkich chorych, z których 80 około 50 ciężko chorych, wśród nich byłem i ja, spędzono na jeden blok rewirowy. Nie orientowaliśmy się, o co chodzi, ale wkrótce dowiedziałem się, że obóz będzie likwidowany, rzekomo ze względu na zakończenie prac w fabryce. Wszyscy więźniowie mają iść do macierzystego obozu w Gross-Rosen, a ciężko chorych miały zabrać samochody. Przez dwa dni nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia.

Jak się później okazało, obóz był całkowicie ewakuowany, z wyjątkiem nas ciężko chorych i jednego wartownika z volketurmu, który pilnował całości. Nie mieliśmy już żadnego wyjścia. Kto tylko był w stanie, zwlekał się z pryczy i szedł do kuchni szukać pożywienia. W magazynie kuchennym znaleźliśmy wiadro marmelady i kilka kilogramów kaszy manny. Wszystko to podzieliliśmy równo na pięćdziesiąciu chorych. Przy plądrowaniu magazynów SS znaleźliśmy też nowe pasliki, a w kantynie trochę spleśniałego chleba i tytoń.

W międzyczasie zmarło kilku ludzi, toteż wynieśliśmy ich zwłoki przed rewir. Gdy to zobaczył nasz strażnik, kazał nam przenieść zwłoki za druty, gdzie przy zagajniku, w wykopanym już dole, znajdowało się wiele trupów, całkiem nagich. Swoich zmarłych umieściliśmy w tej mogile, pozostawiając ją z braku sił nie zasypaną. Po powrocie do rewiru stwierdziliśmy, że naszego strażnika już nie ma. Zwyczajnie uciekł. W tej sytuacji wielu z nas zastanawiało się, co robić, wszak już byliśmy wolni. Czy wyjść poza bramę obozu i cieszyć się wolnością jak dzieci najpiękniejszą zabawką, czy pozostać nadal na rewirze w oczekiwaniu na pomoc z zewnątrz. Emocja i radość z faktu przeżycia obozowego koszmaru skłaniały nas do wyjścia naprzeciw wolności, rozrządek natomiast nakazywał nam pozostać jeszcze za drutami ze względu na brak sił.

Gdy w dniu następnym zobaczyliśmy wchodzących na teren obozu żołnierzy radzieckich z grupy zwiadowczej, wiwatom i radości nie było końca. Nasi wyzwolicieli udzielili nam pierwszej niezbędnej pomocy, dzieląc się z nami wszystkim, co mieli przy sobie.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.14